

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Władysław Ludwik Anczyc.

Władysław Ludwik Anczyc.

Wszyscy czytelnicy nasi znają niewątpliwie nazwisko Anczyca, który dużo dobrych książek przysporzył literaturze dla młodego wieku, a był także

dawniej przez lat parę redaktorem Przyjaciela Dzieci.

Władysław Ludwik Anczyc urodził się w Wilnie roku 1824, był synem słynnego artysty dramatycznego. Ukończywszy nauki w Krakowie,

miał on zamiar zostać aptekarzem, ale niepospolity talent literacki zwrócił go wkrótce na inną drogę. Rozpoczął zawód autorski od utworów dramatycznych ludowych; komedyjka ze śpiewkami „Chłopi arystokraci” zjednała mu wielką sławę, napisał później kilka innych sztuk równie wysoko cenionych, „Łobzowanie, Błazek opętany, Emigracya chłopska” i t. d., a przed samą śmiercią wykończył dramat ludowy „Jan III pod Wiedniem” który na konkursie w Krakowie otrzymał drugą nagrodę. Mieszkając przez czas jakiś w Warszawie, Anczyc redagował wyborne Pismo ludowe pod tytułem: „Kmiotek”, napisał też z wielkim talentem kilka książeczek przeznaczonych dla ludu, między innymi: „Nauka o ziemi i świecie i Obrazki historyczne”, na książkach przeznaczonych dla ludu podpisywał się zwykle pseudonymem Kazimierza Góralczyka.

Z utworów dla młodzieży przeznaczonych na szczególniejszą uwagę zasługują: wyborne spolszczenie „Robinsona Kruzoe, Księga najpamiętniejszych odkryć geograficznych” i wiele innych przekładów. Oprócz tego z oryginalnych prac jego odznaczają się, tak wyborem przedmiotu, jak wykonaniem: „Abecadnik z historii polskiej, Elementarz dla dzieci polskich, Historia polska na pytania i odpowiedzi, Portrety cieniowane królów polskich z opisem” i wiele innych.

Przed kilku laty Anczyc założył w Krakowie drukarnię, wspólnie ze znaną firmą księgarską Gebethnera i Wolffa. Wydrukowano tam mnóstwo dobrych książek. Zasłużony ten pisarz zakończył życie d. 28 Lipca roku bieżącego, po długiej i ciężkiej chorobie sercowej.

PODPORA MATCZYNA,

powieść z czasów dawniejszych.

OFIAROWANA WŁADYSIOWI RATYŃKIEMU.

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

Gdy Władek wrócił do przytomności, leżał on już na swoim własnym łóżku, świeżo i czysto, lecz dość twardo jak zawsze zasłanem, jak przystało dla dzielnego chłopaka nie pieszczocha. Miał głowę i piersi obandażowane, i czuł jakiś nieokreślony zamęt myśli, który mu przytomność i pamięć prawie odejmował, pozostawiając przecież jakby przeświadczenie ciężkiego nieszczęścia. Słoiki, fiaski, szklanki i płótna na bandażu, zalegające stolik przy łóżku, i okna starannie zasłonięte przed zbyt czystym światłem, i duszna trochę

atmosfera, panująca w pokoju, dowodziły, że chory chłopiec nie od dzisiaj już tam leżał. On nie zastanawiał się nad tem, tylko rozmyślał teraz głęboko, pracował osłabłym umysłem, usiłując przypomnieć sobie, co go to tak straszego spotkało, od czego ból czuł w sercu daleko cięższy, niż od ran na ciele? Przypominał, aż przypominał; scena w puszczy przy niedźwiedziu stanęła mu w oczach jak żywa, i Władek z rozpaczliwym krzykiem:

— Ojcie! ojcie! gdzie ojciec! — wyskoczył z łóżka i rzucił się ku drzwiom. We drzwiach schwyciła go w ramiona biegnąca ku niemu pani Wanda, za nią przybiegł Stach, i blada jak ściana, wychudła jak szkielet, matka. Rozpoczęła się dziwna rozmowa i przykra rozprawa. Troje ludzi usiłowało koniecznie uspokoić chłopca, łudzając go i łagodząc, a przemawiając jak do dziecka, lub do chorego, że się nic złego nie stało, że ojca obaczy z czasem, że wszystko będzie dobrze, byle tylko położył się napowrót do łóżka i pił lekarstwo. Głaskano go, ściskano i pieszczono, a wszystko ze skrywanymi napróżno łzami. On popatrzył im w oczy prawie błędnymi oczyma, a potem rzucił się do okna, gdy mu broniono do drzwi przystępu; krzyczał, że czas uchodzi, że ojca uprowadzają, bo zdawało mu się, że nieszczęście stało się przed chwilą dopiero. Stach musiał go powstrzymać przemocą, a on, doprowadzony do szału z rozpacz, zrywał bandażu z ran swoich i walczył ze Stachem.

— Puść go, Stachu! — rzekła wtedy Trzaskowa, zalewając się łzami — niewłaściwie się z nim obchodzimy, a to z mojej winy, bo ja go powinnam znać. Słuchaj, synu, powiem ci całą straszną prawdę, jakiej chcieli ci przyjaciele oszczędzić, jako dziecku. Twój ojciec był posądzony niesłusznie o ciężką zbrodnię, on, najzaciejszy z ludzi! Przed niesłuszną karą uciekliśmy tu i schronili się przed laty na tę puszczy. Teraz dawny nieprzyjaciel odkrył nasze schronienie, naprowadził żołnierzy i... — ujęto ojca. Stało się to już przed miesiącem, bo ty od miesiąca chory jesteś. Ja i Stach czyniliśmy, cośmy mogli, pojechałam za ojcem aż do Warszawy, wszystko napróżno. Zrozpaczona, musiałam tu wracać nareszcie, dostawszy od ojca skrycie przez dawnych przyjaciół tę kartkę.

To mówiąc, pani Trzaskowa podała synowi świstek papieru, na którym Władek wyczytał przez łzy te słowa:

Do mojej żony:

Zaprześciń wszelkich starań. Jak jest, tak być musi. Jestem niewinnym, w tem pociecha. Wracaj do dzieci i żyj dla nich.

Władku, synu mój, bądź matczyną podporą,
Bóg z wami.

Jan.

Władek po milion razy odczytywał ten list, płacząc i całując go nieustannie. Z płaczu i wysilenia osłabł zupełnie i dał się teraz jak małe dziecko położyć do łóżka, ściskając tylko w ręce list ojca. Ten list stał się dla niego jakby drogowskazem na drodze życia, a zarazem jakby testamentem, którego dopełnić miał sobie za święty obowiązek. Czytał go, odczytywał, i znowu czytał, odnajdując w nim coraz to nową jakąś ukrytą myśl ojca, i domyślając się, że ojciec tego chciał właśnie, aby syn mógł więcej wyczytać, niż napisano było w liście, przechodzącym przez cudze ręce. Uderzyło go między innymi wyrażenie ojca: „Jak jest, tak być musi“.

— Dla czego być musi? — pytał Władek matki po sto razy na dzień. — Przeciwnie, to niewinność dowiedziona być musi, bo inaczej nie warto by żyć na świecie. Ja powinienem się starać zrozumieć i wyświecić tę sprawę okropną. Powinniśmy znowu jechać do Warszawy. Trzeba jechać, trzeba działać. Dla czegoż więc ojciec pisze, że „Jak jest, tak być musi?“

Matka, naciśnięta pytaniami, raz, będąc samą jedną z synem, rzekła wreszcie zcicha:

— Dla tego, że ojciec nie chce się tłumaczyć; gdyby chciał, byłby jutro wolnym.

Władek szeroko oczy i usta otworzył, oniebiał. Po chwili dopiero, zcisząc głos tak, jak i matka, zapytał z nowym przerażeniem:

— Dla czego? cóż może być ważniejszém od posądzenia od zbrodni? Co to jest?

— To jest spokój drugiego nieszczęśliwego człowieka — odrzekła matka — który wzbroniony ma sobie pobyt w kraju, a jednak wrócił do niego, aby nie umrzeć z dala odeń z tęsknoty. Gdyby ojciec twój chciał mówić, gdyby tylko powiedział, co łatwo dowieść, że w czasie spełnienia owej zbrodni nie był wcale w powozie pocztowym ani na stacyi, gdyż znajdował się w towarzystwie owego człowieka, byłby już tęp samém wolny...

Władek się zamyślił, łzy spływały mu po licu. Nie pytał jednak więcej, gdyż sprawę już przez pół rozumiał. Po chwili dopiero zaczął pytać o zbrodnię ową, której opowieść zwlekano mu dotąd, zapewne przez wzgląd na jego zdrowie. Wtedy to matka opowiedziała mu o tém, co zaszło na stacyi w drodze z Lublina do Warszawy w czasie, w którym Jan Trzaska nie mógł, bo nie chciał udowodnić, że znajdował się gdzieindziej. Trzaskowa opowiadała tak, jak sama o téj rzeczy z przebiegu sprawy wiedziała.

* * *

O ciemnej listopadowej nocy, w tumanach śnieżnej zawieli, zajechał powóz pocztowy przed stacją na drodze z Lublina do Warszawy. Dwóch panów wysiadło, aby się napić herbaty. Podano ją do ustronnego pokoju. W chwili odjazdu dwaj panowie zajęli miejsca w powozie i poczta odjechała. W jakiś czas jednakże, gdy oberżysta wszedł do owego ustronnego pokoju, wydał okrzyk zgrozy, bo w kącie leżał tam człowiek zamordowany. Po długich namysłach przypomniało sobie dopiero, że poprzednio już spał siedząc gdzieś na boku w głównej izbie gościnnej jakiś człowiek, który przybył tu na cudzej bryczce i oczekiwał na pocztę. Ale dużo ludzi było w pierwszej stacyi, był gwar, i koniec końców nikt nie wiedział, czy to ten człowiek, czy który z dwóch przybyłych pocztą został zabitym. Nazajutrz przybyła władza na miejsce, celem sprawdzenia wypadku. Przystąpiwszy do obejrzenia nieżywego człowieka, znaleziono na nim ramię od uciętej widocznie torebki, w jakiej wożą ludzie pieniądze i papiery, miał on też rozdartą kamizelkę, przy wrywaniu z niej gwałtowném dewizki z zegarkiem; na ziemi leżał pugilares, jakby wypadł z czyjś kieszeni przy schyłaniu się. W tym pugilaresie znaleziono trochę pieniędzy, różne notatki i pasport Jana Barskiego, nauczyciela. Ten pasport i pugilares stały się punktem wyjścia w poszukiwaniach winnego.

Jan Barski nauczyciel siedział z żoną i synkiem przy obiedzie, gdy został aresztowanym.

Nie myślał wcale zapierać się swego pugilaresu, utrzymując, że mu go skradziono, lub że go zgubił w Lublinie. Owszem ucieszył się, odzyskując go, dla zawartych w nim notatek. Nie zaprzeczał także, iż owej nocy listopadowej jechał z Lublina do Warszawy. Zaprzeczał tylko stanowczo, aby choć nogą stąpił na próg nieszczęsnej owej stacyi. Jednakże na pytania inne, szczegółowe, dawał niejasne odpowiedzi. Okoliczności potępiły go dziwnie. To też pomimo, że charakter jego nie usposabiał wcale źle przeciw niemu, jednak miał być skazanym wedle całej surowości prawa za morderstwo z rozbojem, gdy zdołał zniknąć... wysławszy już wprzód żonę z dzieckiem kędyś...

— Bóg go wie, co to tam było, bo i papiery jakieś wioził tamten człowiek... a obdrzeć z zegarka mógł go przecież kto inny... — tak sobie o téj rzeczy rozumowali ludzie, zdaleka tylko Jana Barskiego znający.

— Nieszczęśliwy człowiek, niewinny, a posadzony, jak często dla doświadczenia ludzi Bóg dopuszcza; niedawno się ożenił, miał ukochanego synka, żal

mu było życia, więc uciekł jakimś cudem... — tak mówili ludzie, bliżej Jana Barskiego znający.

Jeden tylko człowiek pewien był winy Jana, gdyż zdarzyło się, że ten człowiek jechał także z Lublina tejże samej listopadowej nocy, i widział i poznał Barskiego, wysiadającego wraz z drugim podróżnym z powozu, a powracającego z innym. Ten człowiek mógł istotnie widzieć to wszystko, gdyż jechał tym samym powozem pocztowym, chociaż siedział w innym przedziale. Był to zaś prosty, lecz dość roztropny dawniejszy stróż tegoż samego konwiktu, w którym Barski był nauczycielem oddawna. Mógł go zatem znać dobrze. A zwał się ten człowiek Maks Stand. Zeznanie jego wpłynęło wielce na wyrok przeciw Barskiemu.

* * *

Tyle dowiedział się Władek od matki, i dopiero wtedy ją zrozumiał, bo wprzód z miłości dla ojca czuł on w głębi duszy prawie żal do matki za jej nieczynność w nieszczęsnej sprawie. Teraz pojął, że matka musiała się zastosować do rozkazów ojca. Ojca zaś znał za dobrze, aby nie wiedział, że milczeć będzie, jeżeli ocalając się wyznaniem, mógł narazić niemi ludzi niewinnych. W takich okolicznościach pozostawało i Władowi wypełnić tylko wolę ojca, to jest być podporą matczyną i nic więcej.

I byłby może chłopak poddał się losowi, gdyby nieszczęście, które go przycisnęło, było tylko nieszczęściem, ale ono było prócz tego i hańbą!... I otóż hańby, cięższej na niewinnym ojcu, chłopiec znieść nie mógł.

Władek, wychowaniec puszcy i zacnego ojca, miał o tych rzeczach jasne, proste, a surowe pojęcie. Dla niego zabójstwo bliźniego, człowieka, było czynem zarówno strasznym, jak haniebnym.

Ztąd też niezasażona hańba ojca bolała syna zarówno, jak samo nieszczęście. Pod tym podwójnym ciężarem upadał on prawie. Odkąd dowiedział się prawdy, odtąd powiedział sobie, że ma dwa cele, dwa obowiązki w życiu do spełnienia: wspieranie ramieniem swém matki, i rehabilitacją niewinnego ojca.

Pierwszy ten obowiązek był prosty, stosunkowo łatwy nawet, to też Władek zajął się nim natychmiast po powrocie do zdrowia. Drugi był niezmiernie trudnym i dla tego chłopak zastanawiał się nad nim bezustannie w dzień, śnił o nim po nocach, wynajdując najprzeróżniejsze środki i kombinacje dowiedzenia niewinności ojca, jedne niemożliwsze od drugich, gdyż nieszczęśliwy chłopczyzna miał dopiero czternaście lat, a przytém brak mu było doświadczenia.

Gdyby był nie miał matki, albo gdyby nie miał zaufania do niej, byłby niechybnie popełnił jakie

szaleństwo i zginął marnie, nie poradziwszy nic ojcu. Szczęściem miał matkę, nie żadną nadzwyczajną wprawdzie bohaterkę, ale z gruntu rozsądną kobietę, żyjącą jedynie dla cnoty, dla męża i dla dzieci. Ona więc umiała powstrzymać nierozważne porywy dzieciaka, który biegł do niej zwierzyć się z każdym nowym pomysłem z pełnym zaufaniem, większym nawet, niż do Stacha, bo wzorem ojca, bał się zwierzać zbytecznie Stachowi dla tego, aby i jego w nieszczęścia swe rodzinne nie wplątał. Matka miarkowała owe porywy Władka, ukazując mu ich niemożliwość; gdyby nie ta niemożliwość, byłaby matka nie wstrzymywała go pewno w obowiązku rehabilitacji ojca.

— Matko! więc tak zróbmy! — szeptał chłopak, wpadając raz na obiad po południowej pracy za domem — Stasię i dworek zostawimy na opiece pani Wandy Pacowej, a pszczoły, воск, miód, futra, skóry, klepki, wszystko sprzedamy do odrobiny. Z pieniędzmi idźmy pieszo do ojca, bo inaczej nie wystarczyłyby nam. Z ojcem dopiero naradzimy się ostatecznie, jak dziać mamy, aby działać zgodnie i skutecznie. Nikt mię nie przekona i ja pewny jestem, że możnaby dowieść prawdy, nie szkodząc nikomu, byleby tylko znalazł się ktoś, ktoby zwrócił uwagę ojca na wszystkie tych wypadków okoliczności. Kto wie, czy znękany, nieszczęśliwy ojciec, zastanowił się też naprzykład nad tēm, gdzie mianowicie i kiedy mógł postradać swój pugilares podczas owego pobytu w Lublinie? A przecież możeby to naprowadziło nas na ślad winnego, bo oczywiście to on posiadał już pugilares ojca, gdy popełnił tę nową okropność.

— A jeżeli pugilares wypadł z kieszeni właśnie tamtemu napadniętemu, który go najniewinniej sam znalazł w Lublinie i miał zamiar oddać? — spytała matka. Syn się zamyślił:

— Nie! — rzekł po chwili — ten, jak wiadomo, był uczciwym człowiekiem, więc byłby znaleziony przedmiot jeszcze w Lublinie właścicielowi oddał, témbardziej, że w pugilaresie był pasport, a pewnym jest, że ojciec już na dwa dni przed wyjazdem pugilaresu nie miał, choć nie wie, kiedy i gdzie go utracił. Tę zgubę posiadał ktoś, kto nie miał zamiaru jej oddawać. Oóż mówisz na ten mój zamiar, matko?

— Mówię — odparła z ciężkiem westchnieniem — że lepszy jest od wszystkich innych, jakie obmyśliłeś dotąd, moje dziecko, ale niewykonalny. Nie wątpiwanie dobrze byłoby, gdyby można z ojcem się naradzić, ale zastanów się lepiej, a sam przyznasz, że jeżeli nasze środki nie wystarczą na podróż inaczej, jak pieszo, to siły moje i twoje nie zniosą takich trudów.

Chłopiec spuścił głowę:

— Sił! sił i pieniędzy! — szeptał sam do siebie po chwili, wzdychając. Nie po raz to pierwszy po namyśle dochodził do takiego wyniku.

— A więc do pracy! — wołał w takich razach — i siły przyjdą przy pracy! — i zrywając się od stołu, biegł do puszczy, która stała się dlań warsztatem, a raczej źródłem pracowitego lecz pewnego zarobku. Dopełniał tak podwójnych obowiązków, pracował dla matki i dla ojca, bo myśl dostania się przedewszystkiem do ojca nie opuszczała go ani na chwilę. Szło mu właściwie nie o naradzenie się, ale o wypytanie, o rozmówienie się. Pewien był, i coraz pewniejszy, że odgadłby winowajcę po wysłuchaniu okoliczności pobytu ojca w Lublinie, to jest w czasie, w którym zginął pugilares. Przedmiot ten stał się teraz dla Władka punktem wychodu w staraniach o rehabilitację ojca, tak samo, jak niegdyś służył za nić w poszukiwaniach przeciw niemu. Chłopak, po powrocie do zdrowia, co rano prawie mówił:

— Ojciec jest sam zanadto prawy, aby innych ludzi nie miał sądzić podług siebie. Dla tego wcale na najważniejszą okoliczność uwagi nie zwrócił i myślał, że zgubił pugilares, ale ja pewien jestem, że mu go ukradziono, a kto popełnił jeden występki, popełnił i drugi!

Matka pokręcała tylko głową na te rozumowania chłopca; była znękaną do ostateczności, a przekonania i mniemania męża były dla niej nieomylnymi. Ale młody Stach i jego żona, słysząc te ostatnie słowa Władka, inaczej o tém sądzili.

— Kto wie — mówił Stach — czy wyrostek, wychowanec przyrody, nie jaśniej widzi te rzeczy od wykształconego człowieka, ojca swego. Wszak istnieją wrodzone poczucia, jakby instynkta, którym człowiek tém mniej podlega, im bardziej sztucznem miejskiem życiem żyje, a tém silniej, im bliżej z przyrodą przystaje.

(D. c. n.).

TYDZIEŃ W WENECYI.

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY.

(Dokończenie).

V.

Dwa razy zwiedzałam kościół „Maria della Sante“, a za każdym razem wydał mi się tak piękny, że trudno powiedzieć: czy lepiej się przedstawia w dzień, czy też wieczor przy oświetleniu? Duży i piękny ten gmach był przez Longhenę, ucznia Palladia wzniesiony, po wielkiej zarazie, która pustoszyła Wenecyą w r. 1830. Kościół

jest cały z białego i różowego marmuru. Z arcydzieł Tycyana posiada: Zstąpienie Ducha Świętego i plafon, przedstawiający Ewangelistów i czterech Ojców Kościoła.

W parę godzin udałyśmy się do kościoła Jezuitów, w stylu barocco z r. 1715 i 1730. Całe ściany są przyozdobione marmurem białym w popielate centki, co dość oryginalnie na pierwszy rzut oka wygląda. Śliczne są tam kazalnice, przysłonięte misternie rzeźbionymi frankami, tak, że do złudzenia naśladują lekką tkaninę. W górze widać cały szereg łóż, gdzie siadali dozwiewie w czasie nabożeństwa, wychodząc wprost z pałacu, gdyż łożo te są tak wyśmienicie z pałacem złączone, że odrazą, wprost z pałacowych pokoi wchodzi się do nich.

W głównym ołtarzu widać dziesięć kolumn ze starego szkła. W jednym z ołtarzy jest obraz Tycyana „Św. Wawrzyniec“, ale tak umieszczony, że trudno go dobrze dostrzedz. Z ciekawszych przedmiotów utkwily mi jeszcze w pamięci dwie pracownie, pierwsza w pałacu Balbi, druga w pałacu Pesaro. Pałac Balbi mieści skład pięknych mebli, które są najwięcej przez Anglików zakupywane; potem skład luster i w ogóle szkieł weneckich, bardzo piękne i delikatne wyroby szklane są tam nagromadzone. Wielu bardzo męczyzn pracuje przy ogniu, wyrabiając paciorki z mozaiki szklanej, flakoniki, które bardzo chętnie są przez podróżnych kupowane, co im też prawie największy zysk przynosi, bo są bardzo biedni i posiadają mało sposobów zarobkowania. Przeważnie trudnią się handlem; szczęściem, że przy tak łagodnym klimacie potrzebują mniej daleko pożywienia i odzieży. Głównym pokarmem ich jest „polenta“ (drobna kaszka w kształcie małych kotletów przesmażona) i dynia pieczona, sprzedawana na ulicach w ogromnych ilościach. Nawet wody do picia nie mogą czasem dostać, gdyż cysterny bywają o godzinie dwunastej odmykane; kto się na dane hasło nie stawia, może cały dzień nie dostać wody. O tej porze nadbiega zwykle dużo dzieci w czarnych kapelusikach i roznoszą wodę po domach.

W fabryce wyrobów szklanych pokazywał mi pewien Włoch obrazek, wyglądający zupełnie jak piękne malowidło, był on ułożony z drobnutkich różnokolorowych szkiełek. Wyrabiają tu także rodzaj złocistego szkła zwanego „aventurino“; robią z niego: kolczyki, spinki, trzonki do nożów i dużo innych ozdób podobnych. Zwiedziwszy fabrykę szkła, gdzie jednak lustra, choć bardzo sławne, nie wzbudziły we mnie wielkiego zachwyty, udałyśmy się do pracowni koronek.

Z litością patrzałam na to mnóstwo robotnic,

poruszających taką masą klocków u poduszek, że mi się w głowie mąciło, patrząc na to. Wyroby ich są bardzo misterne. Są tu wzory najrozmaitszych koronek, z najrozmaitszych epok.

Nie obejrzałam się prawie, tak szybko czas przeleciał, a tyle jeszcze ciekawych rzeczy pozostało do zwiedzenia.

Przepeływałam z prawdziwą rozkoszą przez kanał wielki kilka razy, lubując się przejrystym powietrzem i podziwiając zręczność wioslarzy, którzy z taką swobodą, im tylko właściwą, kierują gondolami.

Zauważyłam, iż twarze męskie o wiele są tu piękniejsze od kobiecych; Włosi nie są dużego wzrostu, to jedyny zarzut, jaki im uczynić można, zresztą rysy mają nadzwyczaj regularne, dość biali, o cudnie zarysowanym profilu, usta pąsowe, szczupli, o kruczonych włosach i nadzwyczaj pięknych, zbyt może dla nas czarnych oczach. Wdzięk przebija się w każdym ich ruchu, gotowi co chwila wybuchnąć gniewem, ale też zapominają urazy i wnet zaczynają nucić piosnkę ulubioną, jakby nie przed chwilą nie zaszło.

Wiele bardzo pałaców, należących niegdyś do dawnych rodzin weneckich, dziś na hotele zamieniono. Hotel, w którym myśmy cały czas mieszkały, miał bardzo piękną salę: ściany przedstawiały karnawał wenecki w całej pełni, na suficie ładne malowidło przyozdobione rzeźbą w około, posadzki wszędzie mozaikowe, które tu nie są żadną osobliwością.

Z każdym dniem to miasto nabierało dla mnie większego uroku. Z żalem patrzyłam tylko na biedne dzieci, które nie znają tu rozkoszy odetchnięcia powietrzem cienistego ogrodu, drzewko najmniejsze jest osobliwością, jak również każde zwierzę domowe; dzieciństwo ich smutne, szczególnie ubogich, którzy rzadko mogą udawać się do jedyne go tu publicznego ogrodu, gdzie także nic osobliwego niema. Dla Wenecyan jednak stanowi on wielką rozrywkę i przyjemność.

Smutno mi się zrobiło, gdy wniesiono nasze rzeczy do gondoli i zręczni wioslarze unosili nas szybkim pędem ku dworcowi kolei żelaznej. Był to ostatni wieczór; pośpieszyłam do kościoła „Maria della Sante“, by spojrzeć raz jeszcze na wspaniałą świątynię, która przy słabym oświetleniu jakoś tajemniczo, a zarazem wspaniale wyglądała.

Gdyśmy przybyły na dworzec, dużo tu się jeszcze coraz to nowych postaci zjawiało: ten z gitarą, ów z harmonią, to znów kilku muzykantów razem, tworząc niewielką kapelę; ale podróżni niezbyt się rozczulali tą muzyką, zaledwie ktoś jeden rzucił kilka centymów. Wkońcu zjawiała się mała karlica z gitarą, ta przygrywała podrygując i śpie-

wając nadzwyczaj grubym głosem, coraz to żywsze piosneczki, tak, iż to wszystkich śmieszyć począła. Po ukończonym koncercie, biegła do wszystkich, prosząc o datek i to tak natarczywie, a przytém robiąc tak zabawne miny, że każdy musiał uleść jej prośbie.

Po kilkunastu minutach gwizdnęła lokomotywa i wsiadłszy do wagonu patrzyłam z żalem, aż póki Wenecya nie znikła mi z przed oczu. Księżyc jasno oświecał laguny, a królowa mórz coraz to prędzej zasłaniała swe jasne oblicze, zostawiając w sercu niezatarte wspomnienie.

Minus.

RODZINA ŚLĄZÓW.

Pogadanka naukowa.

Śluz krągłolistny, *Malva rotundifolia*, jest zielskiem bardzo pospolitým, rośnie wszędzie przy drogach i w polu, kwitnie przez całe lato. Znacnie zapewne dobrze te listeczki okrągławe, o pięciu lub sześciu kłapkach ząbkowanych, i kwiatek cielisty, lub blad-różowy; ale przypatrzcie mu się uważniej, abyście mogli rozpoznać cechy jego rodzinne. A trzeba wiedzieć, że rodzina śluzów jest jedną ze znakomitszych w państwie roślinnym. To ziółko nasze krajowe, od którego nazwisko swoje wywodzi, nie wygląda wprawdzie okazale, ale poczekajcie, gdy przejdziemy do zamorskich gatunków, a obaczycie, jak to rośliny, blisko spokrewnione z naszymi wątłemi ziołami, pod słońcem zwrotnikowým wyrastają na olbrzymów. Najogromniejsze drzewa stref gorących należą do rodziny śluzowatych.

A teraz powróćmy do naszego ślazu krajowego, bo ten zawsze możemy mieć pod ręką i obejrzemy kwiat jego zbliżka, naukowym sposobem. Obaczmy w nim najpierw aż dwa zielone kielichy, jeden, bliższy, ma pięć działek, drugi, zewnętrzny, trzy malutkie. Korona przed rozwinięciem jest skręcona, nakształt sznurka, ma pięć płatków, rozdzielonych zupełnie aż do dołu; jest to korona wielopłatkowa, pamiętacie zapewne tę nazwę z dawniejszych pogadań. Każdy płatek wycięty jest nieco. Pręciki wyglądają całkiem odrębnie, stanowią najważniejszą cechę całej rodziny; są bardzo liczne, niepodobna ich zrachować, nitki zrastają się z sobą i sterczą nakształt kolumny, a ponieważ są nierówne, zewnętrzne znacznie krótsze od środkowych, więc u góry pylniki, rozchodzące się swobodnie, wyglądają, jakby jakaś rozstrzępiona główka, lub suty kutasik. W kutasiku tym ukrywa się zawiązek górny, swobodny, a na nim ster-

czą znamiona, których w malwach jest kilka, zarówno, jak i szyjek słupkowych. Nasiennik ma szczególną postać; Niemcy porównują go do swoich serów spłaszczonych, okrągłych i nazywają ten gatunek ślazu *Käspappelchen* od *käse*, ser, i *pappel* malwa. Wszystkie ślazy mają podobny nasiennik. Krążeczek ten składa się z licznych guziczków, przyrastających do siebie, w każdym mieści się jedno ziarnko. Ślaz dłoniasty, *Malva alcea*, znacznie większy, trzech stóp czasem dorasta, liście ma dłoniasto powycinane, kwiaty duże, różowe.

Rzadko bardzo napotkać można u nas w stanie dzikim tak zwany prawoślaz, *Althaea officinalis*, o kwiatach cielistych, które tem się różnią od właściwych ślazów, że mają kielich zewnętrzny z liczniejszych działek złożony, zwykle z sześciu lub dziewięciu. Roślina ta hodowana bywa dla swych leczniczych własności; korzeń jej i kwiaty przejęte są substancją kleistą. Odwar z korzeni niezmiernie jest skuteczny w kaszlach i katarach, zwykle też w apteczkach domowych przechowywany bywa. Wszystkie ślazy mają też same własności w mniejszym lub większym stopniu. Dzieci wiejskie nicraz ze smakiem zajadają owe nasionka ślazowe, do małych serków podobne, a chociaż pokarm ten nie jest wyszukany, przynajmniej zaszkodzić nie może, bo tylko niewinny klej zawiera w sobie. Piękne malwy ogrodowe, o łodygach wyniosłych i wyprostowanych, jak kije, na których ułożone są gęsto różnobarwne, okazałe kwiaty, należą do rodzaju prawoślazów, nazwa ich botaniczna jest *Althaea rosea*, pochodzą ze Wschodu. W zwrotnikowych krajach rośnie ślazowata roślina zwana proświnnikiem jadalnym, *Hibiscus esculentus*, której nasiona są rzeczywistym pokarmem dla krajowców. W Ameryce południowej przysmak ten, podobno dosyć ckliwy, nazywają *gombo*. W ogrodach naszych hodują czasem ozdobny gatunek proświnnika, o kwiatach świetnej barwy, żółtych, czerwonych, białych, często pełnych; nazywają go zwykle różą chińską, *Hibiscus rosa chinensis*.

W rodzinie ślazowatych napotykamy roślinę, zajmującą jedno z najważniejszych miejsc w przemyśle ludzkim, szacowną bawełnę, *Gossypium*. Bawełna bywa zielną, ta pochodzi z górnego Egiptu i w południowej Europie daje się hodować, drzewiasta rośnie głównie na Wschodzie, w Indjach, w Chinach południowych, jeden gatunek, zwany *Gossypium religiosum*, ma włókna żółtawe, z których wyrabiają znany powszechnie nan-kin. Egipcyanie od czasów niezmiernie dawnych uprawiali bawełnę i wyrabiali z niej różne tkaniny, ale Rzymianie i Grecy wcale jej nie używali. Pewien pisarz starożytny, który zwiedzał Indye, z podziwieniem opowiada o bogactwach tej ziemi, gdzie

na drzewach rośnie wełna, takąż sama prawie, jak na skórze owiec.

W Ameryce rosną odmienne nieco gatunki bawełny, najszacowniejsza jest bawełna kosmata, *G. hirsutum*, uprawiana na wyspach Antylskich, włókna jej są nadzwyczaj delikatne i białe. Któż nie słyszał o smutnych dziejach czarnych niewolników w Ameryce? Oni to głównie używani byli zawsze do uprawy bawełny, a jest to praca nadzwyczaj uciążliwa. Wszystkie te paki bawełny, które przybywają z Ameryki do Europy w takiej obfitości, że na każdym kroku spotykamy tkaniny bawełniane i watę, muszą być zebrane pracowitemi rękami z torebek nasiennych. Tę miękkie włókna są puszkciem obrastającym każde nasionko rośliny. Nasionka są liczne w każdej torebce, a pękając wydobywają się na wierzch i z wiatrem ulatują, unosząc z sobą puszek szacowny, jeśli w porę nie zostaną schwytane. Blado-żółtawy kwiat bawełny ma wszystkie cechy malw i ślazów.

A teraz staje przed nami cały szereg olbrzymów roślinnego świata, drzew potężnych, które jednak blisko są spokrewnione z temi skromnemi ślazami i malwami. W opisach podróży napotykalicie zapewne nieraz takie sławne nazwy, jak bombaks, baobab, adansonia. Wszystkie te drzewa ogromne zaliczają botanicy do rodziny ślazowatych, podrodziny serecznikowatych. Ta ostatnia nazwa ztąd pochodzi, że pnie tych drzew są nadzwyczaj kruche, a drewno ich daje się łupać nakształt sera, czasem nawet jadane bywa przez krajowców gorących krain. Potężny baobab, *Adansonia digitata*, rośnie w Afryce środkowej, niedawno odkryto gatunek odmienny nieco w Australii. Pień baobabu jest bardzo niski, stosunkowo do swej objętości, dorasta bowiem od sześciu do dziesięciu łokci wysokości, a grubość jego przechodzi często czterdzieści łokci w obwodzie. Podstawa ta niemalże ciężar dźwiga na sobie, konary i gałęzie, rozchodzące się na wszystkie strony, prawdziwie olbrzymie przybierają rozmiary. Niektóre wznoszą się do góry, do trzydziestu łokci wysokości, inne, równie duże, rozkładają się dokoła, prawie poziomo. Cały obwód tej ogromnej korony nie wygląda wcale na jedno drzewo, ale na liczną gromadkę. Liście, rozcięte palczasto na pięć części, podobne są do liści kasztanów, a kwiaty barwą i postacią przypominają nasze ślazy, tylko rozmiary ich stosują się do innych części drzewa. Wyobraźcie sobie cielisty kwiat ślazu, niezmiernie powiększony, po środku zrosnięte nitki przecikowe wznoszą się nakształt słupa, u wierzchołka rozkłada się kilkaset pylników purpurowych, jakby wspinały parasol, z pośród nich wywija się gruba szyjka słupkowa, niby wąż o wyciągniętej

szy i rozdziela się na końcu na liczne gałązki. Torebka nasienna wygląda jak mała dynia, nadkrzana na kilkanaście podłużnych części. Każda taka część zawiera sto kilkadziesiąt nasion. Jak widzicie, kwiaty te, wyrastające obficie na gałęziach baobabu, mają najwyraźniejsze cechy słazowatych.

Ogromny pień często bywa prawie zupełnie wydrążony, gdyż drewno jest niezmiernie miękkie, kruche i gąbczaste. W Senegambii widziano takie wydrążenie w pniu baobabu, służące murzynom za salę do obrad i sądów. Kilkudziesięciu ludzi najwygodniej pomieścić się w niém mogło. Podróżny Livingstone zadziwiająco rzeczy opowiada o wytrzymałości tych drzew. Krajowcy zdzierają z nich nieraz korę, a z mocnych jej włókien sporządzają sznury. Drzewo jednak nic na tém nie cierpi, bo kora szybko odrasta, choćby ją zdarto wiele razy. Nawet oderwane kawały, pozostawione przy pniu i wiszące na nim, jak podarte szmaty, rosną w najlepszym razie, jak gdyby ten pień podobny był raczej do ogromnej cebuli, z licznych oddzielnych warstw złożonej. Livingstone utrzymuje nawet, że pień zrąbany i obalony przez czas jakiś rośnie jeszcze i każdy z jego słoików rozszerza się na parę cali, jak gdyby naprawdę każda z tych warstw osobną stanowiła całość. Drewno jednakże tak jest kruche, że najłżejsze uderzenie siekiery odrywa od pnia duże kawały. Z ziarn baobabu afrykańskiego wytłaczają sok kwaśny, przyjemny i orzeźwiający. Gatunek australijski, o którym wspomnieliśmy wyżej, ma drewno dziurkowane, a w czasie wilgotnej pory wciąga wodę, naksztalt gąbki i nieraz owce mogą ugasić pragnienie, wysysając drzazgi, które z łatwością padają pod uderzeniem okutego kija pasterza.

Godne miejsce obok tych olbrzymów zajmuje pokrewny im serecznik, czyli bombaks, który w licznych odmianach rośnie w Azji i Ameryce zwrotnikowej. Niższe jego konary mają potężną postać naszych dębów, a pień tem się różni od baobabu, że ma wysokość stosowną do swej objętości. Możecie więc sobie wyobrazić, jak wyglądać musi to kolosalne drzewo. Pień ma korę zielonkawą, pokrytą, jak i kora na gałęziach, kolczastymi naroślami. Konary drzewa często pochylają się aż do ziemi i zapuszczają w niej korzenie, tworząc liczne szeregi pni pobocznych, u góry wspólną koroną połączonych. Liście sereczników są pierzaste, to jest z licznych drobnych listków złożone; kwiat biały lub purpurowy, rozmiarów ogromnych, ma pośrodku bogatą wiązkę pręcików, o żółtych pylnikach. Te kwiaty muszą okazać się wyglądać na takiem olbrzymiem drzewie. Torebka nasienna, także na liczne części podzielona, jak zwykle u

słazowatych, zawiera mnóstwo nasion czarnych, obrośniętych białym, miękkim puchem. Puch ten jest krótki, nie daje się prząść jak bawełna, ale służy do wypychania poduszek, materaców, a nawet watę zastępuje. To też Amerykanie nazywają bombaks drzewem bawełnianem.

M. J. Z.

U KARTOFLI.

WOJTUŚ.

Matus, matus! patrzcie jeno, co tam do nas lezie?.. Jakos napród się przegieno, niby koń, gdy wiezie, Z dziwnym dachem ma czapczyisko, wystającą brode, W zębach dziwne ma fajczyisko, kij ma, jak na

[trzode,

Kaftan kusy, jak na biesie, lichu wie do czego, A na biodrach sakwy niesie... co to jest takiego?

MATUS.

Bodajem się pomyliła, że to Niemiec idzie, Jakich pośród nas już siła urągają biedzie, I na pany idą jasne, my zaś na chudziaki, Choć dziś chaty mamy własne, a oni żebraki.

WOJTUŚ.

I dla czego tak to bywa, moja matus droga? Czy już dusza ich szczęśliwa taka jest u Boga?

MATUS.

Nie, mój synku, wcale nie to, tak ja sobie myślę, Że wytrwałość ich zaletą, biorąc rzeczy ściśle; Oni zwolna lecz wytrwale, nie zrywając siły, Nie ustają w pracy wcale, choć i im sen miły; Od świtania aż do nocy czuwa Szwab staranny. My, skoczywszy z wielkiej mocy... prześpimy brzask

[ranny.

Azet.

HISTORIA O TRZECH OLBRZYMACH,

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Dalszy ciąg).

Biedny Tomaszek jeszcze nieszczęśliwszym był od innych; słysząc płacz dzieci, i widząc rozpacz żony, myślał sobie:

— Czemużem usłuchał Niemca? Chociaż życie nasze nie było wesołe, zawsze jednak znajdowaliśmy się pomiędzy rodakami, a tu sami obcy ludzie dokoła; nikt nas nie pojmie, nie pocieszy, nie pożałuje...

I tak godziny, dni mijały, a dola ich żadnej nie doznała zmiany.

Czasami pozwalano im po kilkadziesięciu wy-

chodzić na pokład, dla odetchnięcia świeżem powietrzem. Wtedy on patrzył uporczywie na wschód, w stronę Europy, jak gdyby pragnąc wyszukać wśród niezmiernej przestrzeni owęj ziemi, pozostawionęj za sobą, do której tęsknił całym sercem. Napróżno! Wszędzie, gdzie tylko spojrzył, widział

nimi. Słysząc było donośny głos oficerów, wydających rozkazy i szybkie kroki majtłrów, biegających po pokładzie, okręt zaś tak się chwiał na wszystkie strony, że nasi podróżni musieli się chwycić za belki i poręcze, ażeby owo gibotanie nie rzucało ich z miejsca na miejsce.



U kartofli (str. 536).

bałwaniące się fale morza, sine, jednostajne, bez końca!

A potem powracał jeszcze smutniejszy do środka okrętu.

Pewnego razu cała rodzina biednego Tomaszka, jakoteż wszyscy ich towarzysze, przebudzeni zostali niezwykłym hałasem, jaki panował nad

— Co to jest? Co to znaczy?—pytał jeden drugiego, a nikt nie umiał dać odpowiedzi.

Z godzinę tak może przebyli w największej trwodze, gdy wtém dało się uczuć silne uderzenie, a potem straszny trzask.

Jeden z oficerów wpadł pomiędzy nich.

— Wszyscy na pokład, do pomp!—zawołał.

Tu dopiero zrozumieli okropność swego położenia.

Okręt miotany burzą uderzył o skałę, a woda kilku otworami wpływała gwałtownie na spód statku.

Widok grożącego niebezpieczeństwa dodał mocy wycieńczonym przez głód i cierpienia ludziom. Nawet chorzy dobywali ostatnich wysiłków, ażeby bronić życia.

Gdy tłum wybiegł na pokład, straszny widok przedstawił się oczom nieszczęśliwych: burza szalała, całe niebo pokryte było czarnymi chmurami, wichry świszczały przeraźliwie pomiędzy linami masztów, a ogromne bałwany, to wznosiły się, to opadały kolejno.

Biednego Tomaszka postawiono tak, jak innych, przy jednej z pomp.

Ale wszystkie te usiłowania żadnego nie przyniosły skutku, ilość bowiem wpływającej na spód okrętu wody okazywała się coraz większą. Statek powoli, stopniowo, zanurzał swe boki w siną otchłań oceanu.

— Do szalup! — krzyknął wtedy kapitan.

Spuszczono dwie wielkie łodzie, a cała gromada rozbitków rzuciła się ku nim, szukając ocalenia. Nie było co długo myśleć: Tomaszek pochwycił żonę, wziął na ręce dzieci i podążył za innymi. Ale tu szło o życie; każdy więc chciał być pierwszym. W chwili, gdy już miał siadać do łodzi, jakiś barczysty Anglik, torując sobie drogę, odepchnął go tak silnie, że aż się potoczył.

Jednocześnie obie pełne ludzi szalupy odpłynęły od okrętu.

— Jesteśmy zgubieni! — zawołał, spojrzawszy na tulące się do niego dziatki, żonę i garstkę towarzyszy niedoli, którzy równie jak oni nie zdolali opuścić tonącego statku.

Lecz zamiast bolesnej rozpacz, padł na kolana i wzniosłszy ręce do nieba, zawołał:

— Wszchemogący Boże, niech się wypełni święta wola Twoja! Jeżeli jednak to, cośmy uciერიeli, uznasz za dostateczną karę błędu, któryśmy popełnili, opuszczając ojczyzną ziemię, miej litość nad nami i wybaw nieszczęśliwych od niechybnej zguby!

W tej prawie chwili oba statki ratunkowe porwane zostały przez szalejące fale. Rozległ się straszny krzyk kilkuset głosów i wszystko znikło w otchłaniach morza.

Jeszcze pozostali na okręcie nie zdolali przyjść do siebie z przerażenia, wywołanego tym okropnym widokiem, gdy uczuli, jak skołatana bałwanami nawa zapada się pod nimi. Jednocześnie pękły pomosty, zwały się maszty, a ogromny, siny bałwan wody przeszedł nad ich głowami.

Po jakimś czasie, gdy biedny Tomaszek otworzył oczy, ujrzał się wraz z rodziną i towarzyszami niedoli wyrzuconym na brzeg jakiejś nieznaną krainy. Całą przestrzeń ziemi, o ile okiem dosięgnąć było można, pokrywały szczątki roztrzaskanego okrętu. Burza ustała zupełnie.

Pierwszą myślą rozbitków było podziękowanie Wszchemocnemu za cudowne ocalenie, drugą obciążenie miejscowości, w której się znajdowali.

Była to wyspa bezludna, ale obfitująca w figi, daktyle i kokosowe drzewa. Mieli więc zapewnione chwilowe pożywienie; należało jednak szukać środków dla urządzenia sobie schronienia przed panującymi w tych strefach deszczami.

Wprawdzie morze wyrzuciło na brzeg mnóstwo belek, jakoteż całe paki narzędzi ciesielskich i stolarskich, ale chcąc postawić domy i to w krótkim przeciągu czasu, należało posiadać odpowiednie siły, a nieliczna ta garstka cudownie uratowanych ludzi, wycieńczona głodem, wiedziała dobrze, że podołać tak trudnemu zadaniu nie potrafi.

Biedny Tomaszek zatem, naradziwszy się z towarzyszami, nie wiedząc, ma się rozumieć, że wyspa była wcale niezamieszkaną, umyślił szukać pomocy.

.....

Doszedłszy do tego punktu opowiadania, zamilkłem na chwilę, chcąc przekonać się, czy moja historia zajmuje dzieci.

Wszystkie słuchały z natężoną uwagą, jedna Wandzia rzekła do mnie z niezadowoloną miną:

— Ależ to miała być cudowna historia o trzech olbrzymach, a ja dotąd nie słyszę nic podobnego!

— Cierpliwości!... — odpowiedziałem — wszystko ma swój czas. To dopiero początek, potem przyjdzie kolej i na olbrzymów.

Uspokojona tą obietnicą Wandzia nie przerywała mi już więcej, a ja ciągnąłem dalej rozpoczętą powieść.

— Mówiłem zatem, że biedny Tomaszek udał się w głąb wyspy, w celu wyszukania jakiej pomocy, któraby im zmniejszyła trudów przy budowaniu domów. Szedł długo, długo, po zielonej murawie i myślał sobie: Kogóż ja tu znajdę? Jeżeli nawet i spotkam jakiego człowieka, czyż wreszcie zechce spełnić moje życzenie? Ale ponieważ przyrzekł towarzyszom zając się tą sprawą, należało dotrzymać obietnicy. Po upływie kilku godzin, ujrzał się w rozkosznej dolinie, otoczonej niebotycznymi górami; środkiem płynęła szeroka rzeka, ocieniona gęstymi zwojami drzew i nieznanymi mu roślinami. Przedstawiający się jego oczom widok tak był piękny i wspaniały, iż postanowił iść dalej, szukając szczęścia.

Postępując wciąż naprzód z biegiem rzeki

układał sobie różne zamiary, nie wiedząc jednak, jakim sposobem doprowadzić je do skutku, gdy nagle ujrzał coś dziwnego, niezwykłego, coś, co go przejęło trwogą i strachem.

Był to ogromny olbrzym, który leżał rozciągnięty na łące. W pierwszej chwili chciał uciekać. Ale olbrzym obrócił się do niego i rzekł:

— Nie obawiaj się, dobry człowieku, gdyż pomimo siły i władzy, jaką posiadam, złym nie jestem, i żadnej przykrości ci nie wyrządę.

Te słowa uspokoiły biednego Tomaszka, a ponieważ przebyte nieszczęścia dały mu niejaki doświadczenie, pomyślał zaraz:

— Kto wie, ażaliż ten olbrzym, leżący tak spokojnie, nie jest właśnie pomocą zesłaną mi przez Opatrzność, której dotąd szukam napróżno?

Nabrawszy więc otuchy, zapytał go śmiało, czy nie zechce wyświadczyć przysługi oczekującym jego współdziałania ludziom i nie pomoże im w pobudowaniu domów?

— Jestem gotów uczynić wszystko, czego żądacie odemnie, — odpowiedział olbrzym — ale muszę cię uprzedzić, że żyjąc na tej wyspie, która trzeba ci wiedzieć, jest zupełnie bezludną, nie miałem dotąd sposobności niczego się nauczyć. Posiadam wprawdzie ogromną siłę, ale siła ta powinna być rozumnie kierowaną, a wtedy dopiero mogę się stać dla was użytecznym.

— Jeżeli tylko o to chodzi, jestem zupełnie spokojnym—zakończył biedny Tomaszek — potrzeba nam jedynie pomocy przy naszej pracy, wszystkie zaś wskazówki, jak się wziąć do niej, mogę ci w każdej chwili udzielić.

Po wymówieniu tych słów, powrócili do miejsca, w którym pozostała garstka robotników.

Na widok potężnej postaci, idącej z wysłanym przez nich towarzyszem, wszyscy rozbiegli się w różne strony, wydając przeraźliwe okrzyki, ale słowa Tomaszka, który im opowiedział wszystkie szczegóły swojego spotkania, a bardziej jeszcze spokojna postawa olbrzyma, obudziła wkrótce powszechnie zaufanie.

Po krótkiej naradzie, postanowiono przystąpić niebawem do budowania mieszkań. Pierwsza trudność okazała się w tém, że szczątki okrętu, wyrzucone na brzegi wyspy przez morze, leżały bardzo daleko od miejsca, w którym miano stawiać domy. Ściągnięcie ich bez wozu i koni było rzeczą niepodobną, teraz zaś przy pomocy olbrzyma wspomniona praca z wielką przyszła łatwością. Siłacz podjął ogromne belki i przeniósł je na plecach tam, gdzie żądano. Następnie biedny Tomaszek pokazał mu, jak się ma obchodzić z piłą, a on pojąwszy od razu, czego od niego wymagano, zaczął trzeć drzewo na deski z taką szybkością, iż

kilkudziesięciu najbieglejszych robotników niezdolaliby mu wyrównać. Nie możecie sobie wyobrazić, jak to wszystko szło prędko i składnie; postawiono mu grubą belkę, a on wnet zrobił swoje, nie odpoczywając ani jednej chwili.

Szczególna łatwość wielkoluda w wykonywaniu tej roboty podała korzystającym z jego pracy ludziom pewną myśl. Dotąd żywili się oni prawie wyłącznie kokosowymi orzechami, daktylami i figami, lecz czując, że pokarm ten zbyt mało posilny nie będzie z czasem dla nich wystarczającym, zasieli wyrzucone przez morze w skrzyniach okrętowych zapasy żyta i pszenicy, które w tych gorących strefach wydały prędko plony, ażeby zaś mieć z ziarn mąkę, tarli je na kamieniach, ta jednak praca nie na wiele się przydała. Najprzód obracanie żarn rękami z niezmiernym przychodziło trudem, a powtóre mąka ztąd powstała była czarna, zmieszana z otrębami, i po wypieczeniu chleba nieprzyjemna w smaku. Czyby więc nie można, powiedziano sobie, wziąć tego pomocnika do mielenia?

Olbrzym, chętny jak zawsze, zgodził się na żądanie, ale ażeby owe zamiary wykonać, należało przenieść ogromne płyty ciosanego kamienia z przeciwległego końca wyspy, który był od ich mieszkania o kilkanaście mil oddalony. Wtedy biedny Tomaszek z gotowych już desek zrobił wielkie pudło, umieścił tam potrzebne narzędzia, wsiadłszy sam do jego wnętrza, a gdy uczynny wielkolud wziął to wszystko na swoje szerokie barki, ruszyli z miejsca. Tomaszek, ująwszy długą żerdź w ręce, uderzał z lekka olbrzyma po bokach, wskazując mu tym sposobem, jak ma iść, czy na prawo czy na lewo, a ten, posłuszny jego woli, zmierzał w żądanym kierunku. Gdy już całe pudło naładowane zostało kamieniami, powrócili na powrót, i wnet urządzono maszyny do mielenia zboża na mąkę. Nieustraszony pracownik zabrał się do roboty tak raźnie, jak gdyby przez całe swe życie nigdy nic innego nie robił; widząc tę rzadką uczynność, chciano go wstrzymać, ale gdzie tam! on pracował wciąż, nie myśląc o chwili wypoczynku.

Nadeszła noc, ludzie legli w smacznym śnie pogrążeni, a pocziwy ich wyręczyciel zajęty był bez wytchnienia swoją czynnością. Słyszano tylko ogromny łomot i chrzęst kamieni, obracanych potężną jego dłonią.

.....

Doszedłszy do tego punktu mojej historii, spojrziałem na otaczających mnie słuchaczy. Niezmiernie byli zajęci, a zwracając pilną uwagę na wszystkie szczegóły, starali się nie stracić ani jednego słowa opowiadania. Poznałem tylko zu-

śmiechu Mieczysława, że rozumiał dobrze o co chodziło, siostry jego jednak, jako młodsze, uwierzyły w pozorną cudowność powiastki.

Nastąpiła chwila milczenia.

— A jak się ów dobry olbrzym nazywał? — zapytała Zosia.

— Prawda, nie powiedziałeś pan nam dotąd jego nazwiska; — dodała Mania.

— Aquafluentes! — rzekłem.

— Dziwne imię? — zawołała Wandzia — nigdy jeszcze o takim nie słyszałam.

— Olbrzymy, — objaśniłem z udaną powagą — noszą zupełnie odrębne, niepodobne wcale do ludzkich, nazwiska. Ale czas nam wrócić do rozpoczętej historii, bo jeszcze bardzo wiele ciekawych rzeczy pozostało mi wam opowiedzieć.

Nastała znowu pośród małego gronka głęboka cisza, a ja, odpocząwszy nieco, mówiłem dalej:

— Gdy się mieszkańcy bezludnej wyspy przebudzili, wszystko zboże było zmielone, oczekujący na nich Aquafluentes prosił o danie mu więcej roboty. Nim wypełniono jego żądanie, on jak zawsze pełen dobrych chęci, zajął się myciem podłóg, potem wykąpał wszystkie dzieci, ucząc starsze pływać, jednem słowem każdemu umiał się przysłużyć.

Ci zaś, którzy bez jego współdziałania nie umieliby sobie w niczem poradzić, dziękowali Bogu za obdarzenie ich tak chętnym i niestrudżonym wyręczycelem.

Niepodobna mi wyliczyć wszystkiego, co on dla nich zrobił, lecz żądania ludzi nie mają nigdy granic, zaczęto przemyślać nad tém, czyby się nie dało wyszukać drugiego jeszcze olbrzyma, któryby równie ochoczo i wytrwale chciał im służyć; w tym celu zażądano od Aquafluentesa, jako znanego lepiej wyspę, odpowiednich objaśnień.

— Mam ja wprawdzie rodzony brata, równie silnego, jak ja — odpowie olbrzym — ale tego trudniej będzie znaleźć; gdyż on rzadko przemieszkuje na dolinach, najczęściej przebywa na wierzchołkach gór. Oddaje on czasami chętnie usługi tym, którzy go o to poproszą, ale charakter jego jest zmienny, kapryśny, niejednostajny. Niekiedy wpada w taką szaloną złość, że ja, chociaż z natury cichy i spokojny, na widok jego wybryków nie jestem w stanie zachować się przyzwyczajenie, a podburzony, naśladuję niesforne ruchy brata. Nieraz, nawet wyrzucałem sobie tę moją uległość, prowadzącą za sobą wielkie nieszczęścia i spustoszenia, lecz pomimowoli posłusznym mu być muszę.

Starania, jakie przedsięwzięto w celu wynalezienia owęj zagadkowej istoty, były przez długi czas bezskuteczne, w końcu jednak Tomaszek, do-

stawszy się na wysokie góry, ujrzał jakąś ogromną postać, siedzącą na samym szczycie niebotycznej skały.

(D. c. n.).

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

Dalszy ciąg.

Wódz dumny z posiadania tak wspaniałego narzędzia, umieścił się na dwadzieścia pięć kroków od jamy, wziął na cel głowę słonia i strzelił. Odpowiedział mu ryk wściekły, a na łbie słonia ukazało się małe zadrapanie skóry. Kula nie zostawiła innych śladów. Czynność nabijania zabrała następnie ze sześć minut czasu, poczem wódz strzelił po raz drugi, tym razem na odległość piętnastu kroków. Ku wielkiemu zdziwieniu wodza i ludu, zwierzę żyło ciągle. Po nowem powolnem nabijaniu, trzecia kula wypadła i trafiła słonia, ale znowu wywołała tylko ryk wściekłego gniewu.

Do tłumu otaczającego jamę przyłączyli się natenczas Hans, Facetan i reszta podróżnej gromadki; kły słonia, poprzednio ubitego przez Hansa, włożono na grzbiet jednego z koni.

— A i cóż tam — zapytał Hans — nie możecie ubić tego słonia? słyszałem kilka strzałów.

— Kiedy nie chcą nam pozwolić wziąć się do tego — odrzekł William. — Wódz koniecznie sam pragnie dostąpić tego zaszczytu i nie pozwala strzelać, nietylko nam, ale nawet i temu dzielnemu czarnemu, który przecież także ma taką wspaniałą strzelbę — to mówiąc William wskazywał właściciela strzelby bez zaniku.

Tymczasem wódz, znudzony chybionemi próbami, zacząwszy jak widać wątpić o doskonałości strzelby drogo kupionej, zażądał, aby biali strzelcy popróbowali swojej broni na słoniu; najpierw zapraszał Williama do strzału.

— Ale, panie Williamie, ty tego nie uczynisz, nie strzelisz do słonia — dodał Kongo.

— Dla czego — spytał William zdziwiony.

— Bo jak go zabijesz, to oni zabiorą ci strzelbę.

— Żartujesz chyba.

— Nie, panie Williamie, nie żartuję, zabiorą ci twoją ukochaną strzelbę.

Chociaż William nie lękał się, aby mu przemocą strzelbę wydarto, przecież nie życzył sobie, ani on, ani jego towarzysze, wdawać się w sprzeczkę z krajojcami. Odmówił więc próby strzela-

nia, dając grzecznie za przyczynę, że niepodobna-
by było jemu i jego towarzyszą dokazać tego, co
nie powiodło się tak znakomitemu wodzowi.

Wtedy wódz rozkazał swym poddanym zabić
słonia jakbądź. Z tuzin pocisków uderzyło więc
natychmiast w biednego zwierza.

Męczarnia trwała z pół godziny, z największą
przykrością młodych naszych myśliwych, którzy
byliby zakończyli sprawę w kilka sekund.

Byli to prawdziwi myśliwi, nie oszczędzający
wcale zwierzyny, ale czujący największy wstręt do
jej dręczenia.

XLV.

Na równinach.

Następnie, dobiwszy słonia, czarni zajęli się
porąbaniem go w sztuki i przeniesieniem do wio-
ski. Nogi pozostawiono na osobisty użytek wo-
dza. Czekając więc aż kto z poddanych zabierze
te nogi, wódz tymczasem raczył dać posłuchanie
białym gościom.

Goście ci życzyli sobie dowiedzieć się, czy bia-
li kupcy znani już byli w wiosce? bo ciekawi byli
bardzo poznać takich kupców, chociaż William
naprawdę był jeszcze ciekawszym wiadomości, czy
można spotkać w okolicy girafy?

Do tej rozmowy przywołano Konga na tłóma-
cza. Przez chwilę wódz i Kongo krzyczeli do sie-
bie obaj jednocześnie, tak, że zdawało się, iż jeden
drugiemu nie chce pozwolić mówić. Wrzeszczeli
coraz gwałtowniej tak, iż wyglądało to na kłótnię
zaciętą, która mogła się skończyć na czémś gor-
szém niż słowa.

— Co on mówi, Kongo? — zapytał William.

— Nie wiem, panie Williamie — odrzekł Kafr
zawstydzony.

— Jakto — zawołał pan — alboż nie rozu-
miesz ich języka?

— Nie, panie Williamie, on nie mówi po na-
szemu, to nie jest język Kafrów.

— A dlaczegożeś udawał przed chwilą, że ro-
zumiesz i tłómaczyłeś jego mowę? — zapytał
Henryk.

— Bo próbowałem się nauczyć — odpowie-
dział Kafr.

— Nie mamy zamiaru tak długo tu bawić,
abyś ty mógł się jakiegobądź języka nauczyć —
odparł Henryk — kiedy nie rozumiesz, to nie
trzeba było udawać, że tłómaczysz. Jak ty śmia-
łeś udawać!?

Tymczasem, gdy tak rozmawiano z Kafrem,
Buszman Facetan wyprawiał naokoło niego takie
skoki, tak się śmiał i wykrzywił, że zwrócił tém
nareszcie ogólną na siebie uwagę. I wtedy dopię-

ro zrozumiano jego wykrzykniki, przerywane ra-
dosnym wzruszeniem:

— A co? a co? — wołał Facetan — czy wam
nie mówiłem, że Kongo jest stary szaleniec! dzie-
sięć razy szaleniec! A co, czy nie mówiłem!

— Czy ty nie rozumiesz przypadkiem, co wódz
mówi? — spytał William.

— Tak, rozumiem, panie Williamie! — krzy-
czał Buszman.

— A więc mów do niego, wszak wiesz, o co
nam chodzi i o czém chcemy się dowiedzieć.

Rysy Facetana wykrzywiły się w najzabawniej-
szy sposób, co u niego znaczyło, że chciał być po-
ważnym. Przystąpił do wodza i odbył z nim na-
radę, z której dowiedziano się, że od wielu już
miesięcy ani jedna girafa nie pokazała się w oko-
licy, i że mało kupców widziano dotąd w wiosce,
a i ci najprzykrzejsze po sobie zostawili wspo-
mnienia. Wódz zamieszkiwał w owej poblizkiej
wiosce i zapraszał białych gości do siebie. Zapro-
szenie to przyjęł William natychmiast, zdając się
zupełnie zapominać o powrocie do Graaf-Reinet.
Ale jego towarzysze pamiętali o tém.

— Po co nam iść do tej wioski! — mówił Hen-
ryk. — Stracimy tam ze trzy dni, a giraf nie znaj-
dziemy, skoro ich tu niema.

Ta uwaga wpłynęła przecież na Williama,
a zatem postanowiono wyruszać dalej.

Przed odjazdem, podróżni byli świadkami za-
bierania mięsiwa z owego słonia. Obładowano
niem trzy woły, a jeszcze mnóstwo czarnych ugi-
nało się pod ogromnemi sztukami. Niektórzy,
wyciąwszy z boku zwierzęcia straszliwe płyty te-
go mięsa, dziurawili je w pośrodku i przez tę dziu-
rę wytknąwszy głowę, dźwigali ciężar w ten spo-
sób, a mięso spadało im z przodu i z tyłu aż do
ziemi, jak płaszcz meksykański. Widok gromady
tych ludzi, odzianych od stóp do głów w płyty
mięsiwa krwią ociekające, wywarła tak przykre
wrażenie na młodych myśliwych, że, jak Henryk
zapewniał, stracili apetyt do mięsa na jaki miesiąc
przynajmniej.

Pożegnawszy czarne to pokolenie, skierowali
się na południe w dalszą drogę. Późną nocą już
dotarli do miejsca odpowiedniego na nocleg. Wo-
dy nie było nigdzie, pragnienie dokuczało i lu-
dziom i zwierzętom. Z powodu znużenia i cie-
mności nocy trzeba było jednak stać w miejscu
kilka godzin. O świcie wyruszono znowu, upa-
trując chciwie wody. Na przestrzeni wielu mil
spotykano ciągle płaszczynę, która wyglądała,
jakby powierzchnia oceanu, pofalowana gwałto-
wnym wichrem, zastygła nagle. Po raz pierwszy
młodzi myśliwi mogli ocenić różnicę między sprag-
nionemi końmi i wołami. Woły, znękanе stra-

sziwie, wlokły się z powywieszanemi językami i błędnym wzrokiem, gwałtem je zmuszać trzeba było, by dalej postępowały. Przeciwnie konie zrywały się do biegu: zdawały się rozumieć, że woda jest daleko, i że im prędzej iść będą, tém prędzej się napiją. Po południu Henryk i William wysunęli się naprzód. Aby ocalić zwierzęta, trzeba było koniecznie znaleźć wodę przed nocą. Dwaj młodzi przyjaciele dobrze o tém wiedzieli, i byli prawie tak zrozpaczeni, jak ich woły. Popelniono grubą omyłkę nie wypyawszy dobrze o drogę Buszmanów przy rozstaniu się z nimi. Ta nierozwaga była źródłem nieszczęścia, jakie im teraz groziło.

Na krótko przed zachodem słońca, ujrzeni na prawo kępę drzewin karłowatych u stóp pagórka; strzygąc uszami i podnosząc łby, wierzchowce żywo skierowały się w tę stronę, wydając głos podobny do jęku, który zadźwięczał w uszach myśliwych nakształt wyrazu: Woda! Zbliżając się do drzewin, spotkali szczątki lwa nawpół pożartego, obok niego leżało kilka szakali, które lew prawdopodobnie zagryzł, zanim sam padł trupem. Wśród drzew kryło się jezioro błotniste, rzuciły się ku niemu konie z wyciągniętymi szyjami. Tuż obok leżał nieżywy bawół, trochę dalej, hyena.

— Wstrzymaj konia! — krzyknął Henryk, zatrzymując gwałtem swojego. — Ta woda może jest znów zatruta!

Z końmi trzeba było przeprowadzić całą walkę, użyć dobrze ostróg i szpicruty, zanim można je było wstrzymać od wody i skierować napowrót do reszty gromadki. Śpieszono, aby uprzedzić przybywających i kazać Facetanowi i Kongowi przypatrzeć się tej wodzie.

XLVI.

Jeziro śmierci.

Ogólna radość, jaka powstała na wyraz: woda! zamieniła się w nowy smutek, gdy dowiedziano się bliższych szczegółów.

Hans i Arend zsiadli z koni i wraz z Facetanem i dwoma Makalolosami udali się na wskazane miejsce. Facetan za jednym rzutem oka na jezioro poznał, że było zatrute. Aż dwóch sposobów użyto do tego widocznie. W głębi wody widać było wiązkę sporą korzeni, rozmiądzonych zapewne pomiędzy dwoma kamieniami; po powierzchni pływała w wielkiej ilości masa zgniecionych jadowitych jakichś jagód. Było to zarazem nieszczęście i niebezpieczeństwo. Trzeba było co prędzej uciekać w inną stronę, zanim zwierzęta, zwęszywszy wodę, dopadną do niej tak cheiwie, że niepodobna ich będzie zatrzymać. Ten bawół, ten

lew i te szakale, najoczywiściej pokosztowały strasznej owej wody.

Młodzi ludzie, sprawdzający smutną tę okoliczność, zawrócili już do swoich, gdy spostrzegli gwałtowny ruch wśród zwierząt. Wszystkie rwały się, woły wydawały przeciągłe, żalonne ryki, konie rżały w niezwykły sposób. Dwa konie szczególnie, które już widziały jezioro, teraz gryzły wędzidła niecierpliwie. W chwili, gdy Henryk szarpał się z koniem, wstrzymując go, popręg u siodła pękł, a gdy zsiadłszy chciał go naprawiać, koń wyrwał się i popędził jak szalony do owej wody z przeraźliwem rżeniem, jakby na hasło. I zdawało się, że było to hasło rzeczywiście. Konie juczne puściły się za pierwszym co siły. Woły obładowane, które przez ciąg ostatnich mil kilku zdawały się upadać z wysilenia za każdym krokiem, teraz rzuciły się naprzód, jakby nowemi ożywione siłami.

Wtedy pomiędzy ludźmi i zwierzętami rozpoczęła się najprzód gonitwa, a potem walka. Ale spragnione do szaleństwa zwierzęta zbuntowały się przeciw ludziom. Hans, Arend i Makalolosy, którzy byli najbliżsi jeziora, stanęli rzędem, broniąc doń przystępu. Ale broniąc swych wierzchowców i wołów od śmierci, zaledwo sami w nią nie wpadli, wtrąceni przez rozszalałe zwierzęta.

Jeziorko było zaledwo na dziesięć stóp szerokie i w jednem tylko miejscu przystępne. Wszystkie zwierzęta nie mogły się tam dostać razem. Najpierwszego konia, który dopadł wody, straciły w nią natychmiast dwa inne konie, nadbiegające woły zepchnęły je także z kolei. Żadne usiłowania nie mogły odpędzić spragnionych bydła od wody. Szczęściem sam natłok ich w małym jeziorcu nie pozwalał pić wszystkim. Dziesięć minut upłynęło wśród niewypowiedzianego zamieszania, świstu rzemieni, krzyków, głuchych uderzeń kolb. Trzy konie i dwa woły, zapadłszy w jezioro, do wybrzeża przyparte, nie mogły już wyjść, choćby nawet chciały; nie mogły się ruszyć. Bagno owo błotniste miało tylko trzy stopy głębokości, zwierzęta ledwo się w nie wcisnąć mogły. Kilkoro bydła, nie mogąc przystąpić z niskiego brzegu, zaczęło z wyższego spuszczać się ku wodzie, ale wtedy ujrzały pod sobą tylko grzbiety swych towarzyszy. Wół wywrócony i stratowany zawałił jeszcze bardziej drogę do jeziorka.

W skutek tych okoliczności i po półgodzinnych najgwałtowniejszych wysileniach, udało się dopiero ludziom odpędzić ztamtąd zwierzęta, oprócz tych, które wpadłszy w jezioro już w niem pozostały na zawsze.

Trzy konie i dwa woły utracono w ten sposób. Szczęściem nie niosły one prochu. Ich ładunek

rozdzielono na inne a Kongo i Facetan zeszedli na piechotę, Kafrą mało to obeszło. Daleko mniej dbał o swego wierzchowca, niż o Szukaję, ulubieńca swego, który wraz z całą psiarnią strasznie był wycieńczony pragnieniem.

Zaledwie oddalono się o parę mil od tego okropnego miejsca, gdy ciemność poczęła zalegać równinę. Niepodobna było ani myśleć o obozowaniu, każda godzina była drogą, bo odbierała ludziom i zwierzętom resztę sił. Ale w jakim kierunku iść mieli, aby wodę napotkać? oto było pytanie. Na północ nie miano zamiaru powracać, można jednakże było wybierać między trzema pozostającymi kierunkami. Lecz w którymże z nich znajduje się woda najbliższa? Nikt tego nie mógł wiedzieć, i bez Facetana trzebaby się było zdać na przypadek i iść na los szczęścia. Buszman podał radę, która zyskała ogólne potwierdzenie nie tylko Makalolosów, ale nawet samego Konga.

Przedewszystkiem dowiódłszy po swojemu, że przyczyną wszystkiego złego i teraz jest Kongo, Buszman zawiadomił swych panów, że w dzieciństwie słyszał wiele o Beczuanach i ich zwyczajach. Sądził on, że jakieś nieliczne pokolenie tych Beczuanów musi zamieszkiwać w przebywanym obecnie okolicy, uciekający tam przed nieprzyjaciółmi. Niewątpliwie ono to zatrąło ową wodę, aby brakiem wody wstrzymać pogoń nieprzyjacielską. Jeżeli obawiało się napaści, to nie od północy przecież, gdzie mieszkali ziemkowicze, lecz od wschodu, od Kafrów Zulusów niegodziwych, dodał Facetan, spoglądając na Konga. Był więc Facetan przekonany, że tego pokolenia Beczuanów trzeba było szukać na zachodzie, i że kilka godzin drogi doprowadzi podróżnych do ich siedziska.

W skutek takiego rozumowania Facetana, podróżni ruszyli znowu dalej na zachód. Świadomość miejscowości dodawała odwagi myśliwym. Wiedzieli, że w tej części Afryki nie istnieje żadna rozleglejsza pustynia, a nie zawędrowali przecież znów tak daleko na południe wschód, aby się teraz znajdować mieli aż w wielkiej pustyni Kalahari. Teraz więc przebywali zapewne tylko małą płaszczyznę, tak zwane *karru*, które dawnoby już byli zostawili za sobą, gdyby postępowali śpieszniej. Na nieszczęście zwierzęta przebywały zaledwie dwie mile na godzinę, mimo wszelkiej zachęty, jakiej im nie szczędzono w językach: holenderskim, angielskim, hotentockim i kafryjskim. Jednakże i tak wolno idąc można przecznie z czasem zejść do celu... niestety czas ten coraz się dłuższym wydawał znużonym podróżnikom. Młodzi myśliwi wiedząc dobrze, że dłuższej drogi nie zdołają przetrwać, zaczęli już przypuszczać, że

ich myśliwska wyprawa może zakończyć się smutno... smutniej niż niepowodzeniem myśliwskim...

(d. c. n.).

Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Ze stepów Chersońskich.

Spodziewam się, że list mój nie znudzi bardzo Redakcyi; chciałabym opowiedzieć o tém, co tu widziałam.

Mieszkam na stepie w Chersońskiej gubernii, nad rzeką Ingulcem, niedaleko morza Czarnego. Step jest to równina porośnięta tylko trawami, bez drzew i krzewów. Gdzieś tam są doliny, w których płyną rzeki. W dolinach leżą wioski, chaty w nich pobudowane są z ziemi, pomieszanej ze słomą. Jest tam w dolinach trochę drzew i krzewów, których ze stepu nie widać.

Drogę na stepie urozmaicają mogiły, sypane ręką ludzką. Blisko miejsca, gdzie mieszkamy, jest mogiła zwana Carową. Krąży podanie, że w niej leży król Scytów, którzy tu niegdyś zamieszkiwali. Są tu także jaskinie hajdamaków zaporozkich, którzy swemi napadami trafilili Polskę i z bogactwami tu się chronili.

Życzliwa przyjaciółka

Marylka U.

Zadanie konikowe.

za	wspo	dzie	legł	mło	nie	żny	nie
niec	che	dzi	mnie	mło	zgo	ry	Słu
twa	io	po	w szła	cie	rze	słu	dwa
tnym	i	męż	snej	chaj	o	chaj	ce
sła	w was	cie	skaf	go	lu	wał	czy
jak	zy	wy	chęć	cząc	zny	wne	tni
niech	do	bro	wy	cze	dzi	woj	niec
nie	sła	nie	ro	o	wid	ję	da

Łamigłówka liczbowa. (Alinki).

Z dziewięciu liter nazwisko sławnego wodza. Przedstawiając litery, otrzymamy:

- 7, 1, 5, 8, bok góry.
- 3, 5, 8, Miara czasu.
- 8, 3, 5, 6, 2, Zwierzę domowe.
- 9, 3, 2, 4, kraj w Azji.
- 5, 7, 2, owad.
- 9, 6, 2, gatunek wierzby.
- 4, 2, 8, zwierzę wodne.
- 8, 6, 9, 1, część rośliny.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Szarady:

Ka — li — for — nia.

Łamigłównki zgłoskowej:

Jawor
Ówdzie
Zulus
Eneasz
Frak
Ale
Józefa Reszke.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Elli A. w Warszawie. Łamigłównka trafnie odgadnięta, ale liścik bardzo króciutki, na drugi raz prosimy o dłuższy. Naja jest to wąż jadowity indyjski.

Józiewi K. Dziękujemy za łamigłównkę, którą zamieścimy niezadługo w Dodatku; takie łatwe zagadki dla małych dzieci są nam teraz najpotrzebniejsze, bo trudniejszych mamy duży zapas.

Zosi M. w Welezinie. Łamigłównka nie zagięła, ale nie mogła być dotąd drukowana dla tego, że mieliśmy dużo innych, wcześniej jeszcze nadesłanych, a radziłyśmy zadowolnić wszystkich kochanych współpracowników w tym dziale. Cóż mamy począć naprzykład, jeśli w ciągu tygodnia nadesłają nam ze trzydzieści łamigłówek, a my tylko cztery zamieścić możemy w najbliższym numerze? Niema na to innej rady, tylko musimy prosić o cierpliwość i drukować lepsze zagadki po kolei. Nie możemy sobie już w tej chwili przypomnieć, dla czego w liczbowej łamigłównce porobiliśmy małe zmiany, ale pewnie była nie według przyjętych prawideł ułożona. I w łamigłównce zgłoskowej musimy dać inny wyraz na miejscu Jehu, bo głoska j nie może zastąpić głoski i, która tam być powinna. Pseudonym poety Asnyka pisze się E-ly, a nie Eli, więc i ten wyraz nie stosowny. Prawidła najlepiej zrozumieć można, przeglądając uważnie łamigłównki w naszym Piśmie zamieszczane. W liczbowych naprzykład, gdzie liczby zastępują litery, nie można w jednym wyrazie powtarzać po dwa razy tej samej liczby. Omyłkę tę często poprawiać musimy w nadsyłanych łamigłównkach. Cieszymy się bardzo, że *Braniec tatarski* tak się podobał wszystkim czytelnikom.

Marylce. Łamigłównka jest dobrze ułożona, z żalem jednak musimy donieść, że nie może być drukowana gdyż tytuł poezyi, ułożony z końcowych liter, dzieciom po większej części jest nieznan, żadneby go zatem odgadnąć nie mogło. Dołączony ustęp prozą jest dobrze napisany, polszczyzna bez zarzutu, i odczytaliśmy go z wielką przyjemnością. Chętnie wydrukujemy w Pisemku naszym wypra-

cowanie lub korespondencyą, jeśli będzie zawierała jakieś zajmujące szczegóły dla wszystkich czytelników. Nadesłana próbka nie nadaje się jednak do tego.

Waluni S. w Warszawie. Zapytania kochanych czytelników nigdy nie mogą być dla nas nudne i naprzykrzone, przeciwnie, radzi jesteśmy bardzo, gdy mamy sposobność przesłać im jakie pożyteczne objaśnienie. O książkach dla młodego wieku podajemy zwykle obszerniejsze wiadomości w Listach z Warszawy w porze, gdy świeże wydawnictwa ukazują się w handlu księgarskim, a krótkie wzmianki bibliograficzne daleko częściej. Czytelnikom, lubiącym przedmioty historyczne, polecamy „Powieści historyczne Pauliny Krakowowej, i Tesesy Jadwigi (Papi), Pamiętniki Paska i Pamiętniki starego szlachcica opracowane dla młodzieży przez Laskarysa, Bitwę pod Raszyńem Przyborowskiego“. Należy zawsze zawiadomić nas o wieku młodych czytelników przy żądaniu podobnych wskazówek. Wszystkie wymienione przez nas książki są stosowne dla starszych dzieci.

Marylce U. Liścik jest zajmujący i porządnie napisany. to też wydrukowaliśmy go w Piśmie, bo zapewne zajmie czytelników. Takie korespondencye kochanych naszych prenumeratorów z rozmaitych okolic, zwłaszcza oddalonych, są dla nas bardzo pożądane.

Anulce Z. w Niszowcach. Najserdeczniej dziękujemy za przesyłkę, z której nie omieszkamy skorzystać, uwzględniając życzenia Mamy.

Antosiowi J. w Niszowcach. Pomyślnie wiadomości, przesłane nam przez siostrzyczkę, ucieszyły nas niezmiernie; i zasyłamy powinszowania, spóźnione wprawdzie, lecz niemniej serdeczne. Cieszymy się także, iż nasze „Wieczory“ czytane są z upodobaniem w gronie tak wzorowej i starannie wychowanej młodzieży.

Wini S. w Lubieszowie. Mamy w pogotowiu inne powieści historyczne, które zapewne zajmą czytelników nie mniej od „Brańca tatarskiego“. Ładnie to bardzo, że dziewczynka jeszcze nie duża, jak łatwo z pisma poznać można, tak już smakuje w poważniejszych, historycznych opowiadaniach. Wszystkie rozwiązania łamigłówek są trafne. Na przyszłość prosimy bardzo kochaną korespondentkę i serdeczną przyjaciółeczkę, aby nie trudiła Mamy, pisząc do nas, ale sama sobie z tém rady dawała, jak umie. Liściki, pisane bez żadnej pomocy, choćby się do nich jakaś myłeczka wcisnęła, są dla nas najmilsze.

Notatki bibliograficzne.

Wskazówki pielęgnowania dzieci w pierwszym roku życia, podług dzieła profesora d'Espine opracował Dr. Polak, cena kop. 10.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.

ROZMÓWKA.



Andzia. Moja Mamo, ja sobie czasem myślę, coby to było, gdybym ja była się urodziła, nie w naszym kraju, ale gdzieś bardzo daleko, i nie była maminią córeczką, tylko jakąś cudzoziemską dziewczynką, na przykład Turczynką.

Mama. Nie mieszkałabyś wówczas w Warszawie, tylko zapewne w Konstantynopolu i nie mówiłabyś po polsku, tylko po turecku.

Andzia. Czy naprawdę, Mamuniu, umiałabym mówić po turecku?

Mama. Niezawodnie; od urodzenia słyszałybyś mówiących tym językiem i nie mogłabyś mówić sama inaczej.

Andzia. Ale, cobym ja robiła tam w Turcyi, moja Mamo, jakbym ja się ubierała? pewnie nie tak, jak teraz.

Mama. Nosiłabyś kurteczkę jaskrawą wyszywaną, szerokie, bufiaste majteczki, a na głowie czapeczkę z kutasikiem. Siedziałybyś cały dzień zamknięta w mieszkaniu, a gdybyś czasem, bardzo rzadko, wyszła do kąpieli, lub na przechadzkę, ubieranoby cię w długi płaszcz i twarz miałabyś zasłoniętą zupełnie, tylko oczy widać by było z pod téj zasłony.

Andzia. Jakież to zabawne, moja Mamo; pocóż one tak ciągle w domu siedzą, te Turczynki i tak się dziwnie ubierają na ulicę?

Mama. Bo taki jest zwyczaj w tym kraju. Ubogie kobiety nie mogą siedzieć ciągle w mieszkaniu, muszą wychodzić, pracować w polu, wodę nosić i różne inne usługi speł-

niać, ale bogate próżnują po całych dniach, zamknięte w swoich haremach; tak się nazywa mieszkanie kobiet tureckich.

Andzia. Ale cóż one tam robią w tych swoich haremach? pewnie się nudzą okropnie.

Mama. I ja tak myślę, muszą się jednak przyzwyczaić do tego; ale z nudów podobno bardzo dużo jedzą, szczególnie słodczy rozmaitych, konfitur, syropów, ciastek.

Andzia. A to musi być dosyć przyjemnie, Mamuniu. Chciałabym być Turczynką, na jeden, albo na dwa dni, nie dłużej; najadłabym się tylko tych słodkich rzeczy i znoubym tu, do Mamy, uciekła.

Dwa koty.

B a j k a.

Raz tłusty kotek spotkał chudego.

— Jak się masz, bracie — mówi do niego.

— Oj, źle się miewam — chudy odrzecz, Niedługo życie ze mnie uciecze.

— O, to niedobrze! — tłusty mu na to.

— Lecz gdzieżeś bywał przez całe lato?

— A byłem na wsi, lecz żał się Boże, Tam już nikt chyba wytrwać nie może,

Taka tam praca i takie trudy — Mówił ze łzami kotek ów chudy.

— A jeść co niema? — tłusty zapyta.

— Co za jedzenie! mleko, i kwita!

Może się sprzykrzyć i żywot taki.

Sami to mają różne przysmaki, Lecz mnie nie dadzą, a gospodyni—

Wszystko zamyka w komorze, w skrzyni—

Rzecz ze smutkiem chudy kocina

I znowu dalej skargę poczyna:

— Raz, że zdusilem maleńkie kaczę,

To już myślałem, że się zapłaczę.

Bo mnie wrzucono pod strych, u góry,

Każąc mi łapać myszy i szczury.

Cały mnie tydzień tam przytrzymało,

I nawet mleka pić nie dawano.

Wreszcie, że zjadłem kawałek szynki,
 Nadgryzłem sadła, to znów słoninki,
 Że masła trochę licznałem z faski,
 Gospodarz, wzięwszy rzemieńne paski,
 Takie mi niemi wyprawił bicie,
 Że aż uciekłem, unosząc życie.
 I taki biedny, i taki chory,
 Włóczę się oto wciąż od tój pory.
 Wyście szczęśliwiej jakoś trafili!
 — O tak, mnie nigdy jeszcze nie bili,
 Nikt się nie gniewa na mnie, ni dąsa —
 Odparł kot tłusty, musnąwszy wąsa.
 Bo ja przysmaków żadnych nie ruszę,
 Własnym przemysłem żywić się muszę.
 Nie jadam wprawdzie kaczkki, ni kury,
 Tylko poluję na myszy, szczury.
 Wolne już od nich dom i stodoła,
 Nigdzie ich niema, no, nigdzie zgoła.
 Gospodarz za to i gospodyni
 Często pogłaszcze, krzywdy nie czyni.
 Więc jestem tłusty i mam wygody,
 Lecz ja pracuję, nie robię szkody.

Z. Morawska.

Dwie Siostry-różyczki.

O pięknym letnim poranku, w jednym dużym ogrodzie, na dużym krzaku różanym, zakwitły tuż przy sobie dwie przesliczne różyczki. Ponieważ dopiero co wyrzały z zielonych obłonek, przeto z niemierną ciekawością przyglądały się światu, słońcu, drzewom, kwiatom i trawie. A tak im ślicznie było, gdy w siostrzanęj przyjaźni, wsparłszy główki jedną o drugą, podziwiałały świat, że gdyby był tam jaki malarz, to byłby je pewno co prędzej odmalował i podpisałby pod tém malowaniem dwa wyrazy: *Siostry-różyczki*, a każda Mama, mająca córeczki, kupiłaby pewno taki obrazek i zawiesiła w pokoju swych córeczek. Bo chociaż siostrzyczki wszystkie zazwyczaj bywają ze sobą w serdecznęj przyjaźni, to przecież przyjaźń siostrzana jest taką śliczną rzeczą, że nigdy się na nią dosyć napatrzeć niemożna, a więc miło jest i na obrazku na nią spoglądać.

Ze wszystkiego, na co patrzyły różyczki, najbardziej podobało im się słońce, przeto patrzyły weń nieustannie. Słońce tymczasem podnosiło się coraz wyżej, a promienie jego stawały się coraz gorętsze. Koło południa zaczęło też gorąco nużyć różyczki, a niezadługo

dokuczyło im tak bardzo, że świeże ich młodociane główki zaczęły się schylać ze zmęczenia i z pragnienia, bo upał był nadzwyczajny dnia owego. Mniejsza zwłaszcza i słabsza różyczka uczuła się prawie omdlewającą z gorąca, i wspierając się bezsilnie już na zieloném ramieniu siostry, rzekła osłabłym głosem:

— Moja droga siostrzyczko, ja jestem tak bardzo znękaną, że jeżeli się co nadzwyczajnego nie stanie i nie poratuje mię, to pewno zwiędnę i przestanę patrzeć na ten piękny świat, który tak niedawno ujrzałam.

— Odwagi! moja siostrzo — mówiła druga różyczka — oto słyszę, jak rozmawiają sąsiadki nasze lilie, że po takim upalnym dniu można się obfitęj rosy spodziewać wieczorem, zatem niepoddawaj się znękanui, bo to resztę sił odbiera, wytrwajmy do wieczora, a rosa może i nas pożywi, skoro żywi tu wszystkich, jak słyszę.

Tak radziła większa i mniejsza różyczka, ale mniejsza biedaczka była tak bezsilna, że choć starała się krzepić i słuchać siostry, przecież od narzekania wstrzymać się nie mogła. A tymczasem słońce zaszło, obfita rosa orzeźwiła rośliny i na główkach różowych dwóch sióstr różyczek także zabłyśły dwie ogromne krople ożywczej rosy. Mniejsza róża już chciwie roztwierała listeczki, aby wypić rosę, gdy nagle z liścia jaśminu-sąsiada podniosła się ogromna liszka, która szybko spiła kroplę rosy z małej różyczki i popelzła dalej między liście zielone po więcej ochłody.

Młoda różyczka smutno westchnęła i opuściła główkę zupełnie... Jeszcze chwila, a byłaby omdlała tak, że nicby już jęj nie ożywiło. Ale siostra spostrzegła niebezpieczeństwo i nie wahając się ani chwili, choć sama zarówno spragniona, pochyliła się nad siostrą, a rosa, której ledwo trochę wypiała, spłynęła z jęj czoła na czoło umierającęj. Biedna omdlała różyczka podniosła główkę natychmiast, i obie pokrzepione tą odrobinką, która ledwo dla jednęj była dostateczną, chwiały się smutno pod wieczornym wietrzykiem, wsparte wzajem o siebie.

Obie żyły jeszcze, ale obudwom brakło sił i pewne były, że nie doczekają dnia jutrzejszego, gdy wtém drobny ale rześisty i obfity deszcz spłynął na nie, rzeźwiąc je doskonale. Siostry-różyczki żywo i wesoło podniosły główki prosto ku niebu, dziękując mu za ratunek i dziwiąc się, że deszcz tylko na nie jedno w całym ogrodzie pada. Spojrzawszy

dopiero bacznie naokoło, ujrzały ogrodnika, który skrapiając je miękką wodą, tak mówił do małego ogrodniczka, synka swego:

— Czy widziałeś, synku, jak spragniona ta róża drugą jeszcze bardziej spragnioną poła?... orzeźwimy je teraz obie świeżą wodą, a ty pamiętaj zawsze, coś widział, bo i ty masz siostrzyczki i braciszków, i wszyscy ludzie na świecie braćmi są sobie; otóż gdyby każdy takim był dobrym dla bliźniego swego, jak ta róża dla siostry swęj róży, toby nikt z pragnienia i głodu nie omdlał, i każdyby orzeźwiającego deszczu doczekał.

Azet.

TROSKLIWA BRONCIA.

Brońcia bardzo lubiła piękną swoją Żółkę pincerkę, nie tak wcale, jak inne dzieci, które tylko bawią się pieskiem i męczą go, ale ani pomyśla, czy ten piesek nie jest głodny, albo spragniony, albo czy niestosowne pieszcoty nie są mu przykre.

Brońcia doskonale wiedziała, że każdy piesek czuje, co się z nim dzieje, i przeto, że złe obejście sprawia mu ciężką przykrość. I dla tego, wiedząc doskonale, że czystość jest pierwszym warunkiem zdrowia, Brońcia co tydzień kazała Żółkę swoją kąpać i myć.

Zdarzyły się wszakże tak niedobre służące, że myć pieska nie chciały, wtedy Brońcia sama własnoręcznie co tydzień myła pięknego swego pieska w dużej balii, a potem, wytarłszy go starannie, kładła w suchą pościel, aby wyschł; a gdy wstał suchy, czesała go grzebieniem, oblewała go kolońską wodą dla zapachu i dla zdrowia, mówiąc:

— Wolę sama potrudzić się i myć Żółkę, niż żeby służąca, nie lubiąca piesków, złe ją umyła, bo wiem, że czystość jest pierwszym warunkiem zdrowia, i że człowiek, który trzyma zwierzę, konia, psa, czy coś podobnego, powinien o to dbać.

JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg.)

W drugim znów domku japońska rodzina siedziała na piętach na środku, naokoło owęj szkatułeczki, a raczej cacka, która tu służy za stół. Właśnie jedli śniadanie i szka-

tułeczka zastawiona była zabawnymi półmiskami, wielkości dłoni i filizaneczkami, na czemsiś drugiem, podobnem także do szkatułki, stał imbryk, a pod nim żarzyły się węgle. Rozpatrzywszy się trochę, zaczęła Józia przypatrywać się ubraniu mnóstwa ludzi, biegnących wesoło koło niej na wszystkie strony. Wtedy dopiero rzekła:

— Moja Matyldo, już ja nietylko po pantofelkach rozróżnię lud od zamożniejszych Japończyków; pewna jestem, że te tłumy ludzi bez żadnych kapeluszków to najniższa klasa.

— To prawda — rzekła Matylda — ale sądzisz, że te wysokie śpiczaste kapelusze, które niektórzy noszą, są jakąś kosztownością, a to się wyplata z łyeczka cienkiego, i każdy to potrafi, i tylko ze zwyczaju lud nic na głowach nie nosi.

— I po sukniach poznam — mówiła Józia — z pewnością wszyscy w jednakowych tych sukniach szarych, dość krótkich, nie należą do bogatych, a za to muszą być zamożne te panie w krótkich spódniczkach wązkich i długich całkowitych sukniach, także wązkich, roztwartych z przodu od pasa, a takich niezmiernie długich, aż strach; muszą to być bogate panie, nie potrzebujące pracować, bo nikt pracujący nie miałby czasu ciągle ten tren od sukni w rękę unosić, jak amazonkę.

— Ale to uważna jest ta twoja córeczka — rzekł pan Poncet do ojca Józii — moja nie rozpatrywała się z razu tak prędko w japońskim świecie. Skręćmy tu teraz na prawo.

— A czemuż nie pójdziemy wprost dalej tą prześliczną ulicą? — zapytała mama Józii. Pan Poncet rzekł na to:

— Bo tam już nie obaczylibyśmy żadnych osobliwości, tam dalej rozpoczyna się nowa część miasta, od piętnastu lat dopiero powstała na sposób europejski. Są tam nawet konie prawdziwe i powozy, o czém przed piętnastu laty nikomu się nie śniło. I gmachy rządowe wyglądają jakby były murowane po europejsku, chociaż naprawdę są po dawnemu papierowe, tylko większe i po wierzchu pomalowane i oblepione, aby mur udawały. Wszystko tu się tak na wzór europejski urabia, odkąd Europejczycy gwałtem dostali się do niedostępnej wprzód dla nich Japonii, i zaprzyjaźnili się już teraz z japońskim władcą Mikadem.

— Żal mi tych dobrych Japończyków — rzekła pani Poncet — byli oni tacy szczęśliwi dotąd przy starych swoich zwyczajach, że

wcale mi się nie zdaje, aby lepiej im było, gdy się europejskich wyuczą.

— To też lud wcale się tych nowości nie chwytą — rzekł pan Poncet — ani kobiety wszelkich stanów; tylko cesarz i jego urzędnicy naśladują europejskie zwyczaje, a gdy nikt nie patrzy na nich, to i oni ubierają się i żyją po dawnemu. Zresztą muszą postępować, jak im z interesu wypada.

— O! jaka też to szczęśliwa musiała być ta Japonia, póki w niej przed przybyciem Europejczyków żadnych interesów nie było, tylko wszyscy bawili się wśród kwiatów, jak dzieci! — tak głośno westchnęła Matylda, aby przecież pokazać, że i ona rozsądną uwagę zrobić potrafi.

— Jednak i oni pracowali zawsze, aby żyć — powiedział pan Poncet.

— Tak — dorzuciła Matylda — ale ojciec sam nieraz mówił, że praca w Japonii jest bardzo łatwą, ponieważ potrzeby są bardzo małe, a ryżu i ryb jest tak dużo, że nikt nigdy w tym szczęśliwym kraju głodu nie znał.

— Tak, to prawda — rzekła Mama Józi — im mniej człowiek potrzebuje, tém jest szczęśliwszy. A cóż to tam za las z kwiatów przesłiczny!

— To jest letni pałac Mikada — powiedział pan Poncet.

— Pałac? ależ nie widzę pałacu, tylko gęstwinę kwiatów — mówił ojciec Józi. Ale w tejże chwili brama dopiero co roztwarta zamknęła się i już nic nie było widać. Pan Poncet mówił:

— Może nam się uda zajrzeć i do tych pałaców, ale już nie dzisiaj, bo to nie łatwa sprawa. Ogromny las kwiatów olbrzymich, wiecznie kwitnących, otoczony w koło kunsztownym murkiem, a w kwiecistych głębiach kryjący mnóstwo malutkich domeczków, jakby dla lalek prawie, nazywa się pałacem cesarskim w Japonii. Każdy taki cesarski domeczek jest cały zrobiony z porcelany, złota, i laki różnokolorowej i przezroczystej, która jest kosztowniejsza jeszcze od złota. Japończycy celują w jej wyrobie. Domki te są takie przesłiczne, że żadne cacko piękniejszym być nie może.

Tak rozmawiając, całe towarzystwo skreśliło za panem Poncetem w boczną, ale równie szeroką ulicę, i Józia, zapomniawszy się zupełnie, krzyknęła z radości na niespodziany widok, jaki jej się przedstawił. Była to znowu ulica sklepowa z cackami, taka właśnie,

jak tamta w Yokohamie, której sklepy jeszcze pozamykane były, gdy przez nią przejeżdżano dzisiaj ranną godziną, a Józia wtedy tak załowała, że się zatrzymać nie mogli. Ale ta ulica była daleko szerszą i sklep stał prawie tuż przy sklepie, tylko je rozdzielały małe przejścia, zasadzone kwitnącemi kameliami i wanny czy balie do kąpieli stały tam pod kwiecistemi gałęzmi, między domkami. A domki te sklepowe wszystkie miały już ściany uprzątnione lub podniesione tak, że tylko tylna czwarta ściana, a z przodu dwa bambusowe drążki dach ryżowy wspierały.

Nawet Matylda, jakkolwiek przyzwyczajona już do tych cudów, złożyła ręczki i krzyknęła:

(D. c. n.).

Z a g a d k a.

Co to za miasteczko, co nad Wartą leży,
Zwane, jak to, na czém wóz lub powóz bieży?

Łamigłówka głoskowa (Alinki).

Z następujących zgłosek: a—ak—i—je—ka—li—le—mo—mur—mun—na—niec—o—raz—re—ryl—sa—za—za— ułożyć wyrazy: 1. Przysłówek. 2. Rzeka. 3. Owoce. 4. Żeglarz. 5. Więzień. 6. Rodzaj wiatru. 7. Roślina o pięknych jagodach. 8. Imię biblijne. Pierwsze litery, czytane od góry do dołu, utworzą nazwisko znakomitego męża, ostatnie, od dołu do góry, godność, którą piastował.

Rozwiązania do N-ru 32-go:

Szarady:

O — gród.

Łamigłówki kryształowej:

		J.							
		S	A	S.					
		J	A	C	E	K.			
		S	U	C	H	A	R	Y	
J	A	C	H	O	W	I	C	Z.	
		P	R	A	W	O	Ś	Ć.	
		O	L	I	W	A.			
		A	C	H.					
		Z.							